



Pokolenie deregulacji.

Paweł Drożdżiak – psychoterapeuta, autor blogu o psychologii i psychoterapii. Tekst udostępniony uczestnikom kongresu za zgodą Autora. Adres internetowy tekstu: <http://paweldrozdziaak.natemat.pl/73653,pokolenie-deregulacji>

Poproszono mnie wczoraj, bym w TVP Info skomentował najnowsze niewesołe doniesienia o polskiej szkole i stanie uczniów. Co piąty uczeń ma już podobno depresję. Jeśli młodzi ludzie masowo w Polsce na coś cierpią, to z pewnością nie na depresję, tylko na anomię.

Pierwszy września nieubłagane nadszedł. Drżycie nauczyciele, rozpaczajcie uczniowie, szukajcie portfele rodzice i korepetytorzy. Wraz z początkiem roku przypominamy sobie o szkole. Zresztą masowe zwolnienia nauczycieli nie dają nam o tym zapomnieć.

Poproszono mnie wczoraj, bym w TVP Info skomentował najnowsze niewesołe doniesienia o polskiej szkole i stanie uczniów. Występowałem razem z panią Elbanowską z fundacji Ratusz Maluchy, ale do spółki mieliśmy sześć minut, więc z tego co miałem zaplanowane w zasadzie prawie nic się nie dało powiedzieć. Stąd ten tekst – co nie zmieściło się w programie, to umieszczę tutaj.

Na portalu Gazety niektórzy z nauczycieli (jak rozumiem tych, co jeszcze zostali) [skarżą się na uczniów](#). I tak na przykład nauczycielka angielskiego mówi:

Młodzież, którą teraz uczę w porównaniu do mojego pokolenia, jest powierzchowna, myśli skrótami, nie chce, bądź nie potrafi dłużej pochylić się nad jakimś zagadnieniem, jest nieufna, nie lubi pokazywać pozytywnych emocji. Okazuje dużo większą śmiałość w relacjach z nauczycielami, co, choć cenne, jest często po prostu niegrzeczne. Jest roszczeniowa i raczej bierna, rzadko wykazuje własną inicjatywę. Bardzo chętnie, natomiast, punktuje i rozlicza nauczycieli.

Pocieszyć mogę panią tylko tym, że mogłoby być znacznie gorzej. [Angielscy nauczyciele protestują](#), bo boją się dostać w szkole nożem i dochodzą już do takiej desperacji, że domagają się powrotu kar fizycznych. Na szczęście nie jest to jeszcze masowe.

U nas to jednak wciąż egzotyka, bo kulturowe zmiany tak daleko tu jeszcze nie zaszły. Tymczasem mamy ponoć w polskiej szkole epidemię depresji i innych zaburzeń. Co piąty uczeń ma już depresję, jak nam o tym [donosi Rzeczpospolita](#) w oparciu o dane Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i wypowiedź profesora Zimbardo.

W miarę rozrastania się kryteriów diagnozy nie tylko co piąty, ale wkrótce i co drugi uczeń będzie miał depresję, co drugi manię a większość dodatkowo będzie mieć ADHD. Nie ma już na świecie ludzi smutnych, przyłamanych tym czy owym, przeżywających stratę, obawiających się czegoś albo zniechęconych. Są ludzie chorzy. Głównie na depresję, która – co z satysfakcją przypominam zbyt prędkim krytykom szkolnej rzeczywistości – jest podobno wywołana nierównowagą neuroprzekazników w mózgu i na tej podstawie jako choroba o podłożu fizjologicznym leczona jest antydepresantami. Tylko jak to pogodzić z tą krytyką szkoły?

Depresja jest w dzisiejszych czasach chorobą nie mniej tajemniczą, niż ADHD o którym pisałem tu jakiś czas temu. Kiedy trzeba uzasadnić konieczność leczenia lekami, jest fizyczna, bierze się z nierównowagi neuroprzekazników, skłonność do niej jest wrodzona i jej



biologiczny charakter jest naukowo dowiedziony, a kto by zaprzeczał, ten drań co ludzkiego nieszczęścia ni w ząb zrozumieć nie chce. Kiedy jednak trzeba wykazać jej masowość, robi się nagle społeczna, powiązana z alienacją, z obojętnością szkoły na jednostkę albo kryzysem rodziny.

Działa to na zasadach logiki rozmytej, ale działa naprawdę skutecznie. Kobieta która przychodzi do lekarza załamana porzuceniem przez męża, co po trzydziestu latach znalazł sobie młodszą dostaje diagnozę depresji i leki bez żadnego problemu. Mężczyzna któremu po dwudziestu latach padła firma i który jest przerażony przyszłością, bo ma prawie pięćdziesiąt lat i wszystko co umiał zawodowo w tej właśnie firmie pokazał dostanie tę samą diagnozę. Depresja. Leki na szczęście są na to.

Nie jesteście państwo załamani, jak każdy by był. Macie problem medyczny. Jaką chorobę to leczy? Inna rzecz, że lekarz też człowiek i próbuje dać co ma, by ulżyć drugiemu w potrzebie. Kiedyś w miejscu gdzie nie było nadziei na stole zjawiała się wódka. Dziś mamy czasy higieniczne.

Ale co z uczniami w przededniu rozpoczęcia roku? Profesor Zimbardo twierdzi, że nasi nauczyciele są toksyczni. Zamiast mówić dziecku co umie, mówią mu czego nie umie i czepiają się, pastwią i stąd (fizjologiczna?) epidemia depresji wśród polskich dzieciaków. W amerykańskiej szkole docenia się mocne strony.

Być może amerykańskie dzieci odpowiadają inaczej na pytania testowe właśnie przez ten zwyczaj podkreślania mocnych stron niezależnie od tego co się naprawdę przeżywa. Trudno powiedzieć. Wiadomo na pewno, że o skuteczności szkoły decyduje tam to samo co u nas, czyli głównie i przede wszystkim to, co dzieje się w domu. [Według amerykańskich badań](#) na sukces dziecka w szkole wpływają cztery podstawowe czynniki:

- czy ma oboje rodziców
- czy rodzic mu czyta
- czy nie ogląda za dużo telewizji (albo internetu)
- czy stale opiekuje się nim członek rodziny

Generalnie rzecz ujmując sprowadza się to do kwestii, czy dzieciak jest zadbany i czy ma kto mu poświęcać uwagę. Wspomnienie o samotnych rodzicach może niektórych poruszać, jednak statystyki są nieubłagane. Niezależnie od tego, że miliony osób samotnie wychowujących dzieci starają się jak mogą i ich poczucie winy nie może już chyba być większe, statystycznie rzecz biorąc wychowanie w domu gdzie jest tylko jeden rodzic zwiększa prawdopodobieństwo powtarzania klasy 2,5 krotnie. Na szczęście statystyka nie mówi nam nic o jednostkach.

Z innych ciekawostek - do ukończenia czwartego roku życia dziecko wychowywane w rodzinie osób posiadających pracę usłyszy średnio o 35 milionów więcej skierowanych do siebie słów, niż dziecko wychowywane w rodzinie osób bezrobotnych.

Zwolennicy wysyłania do szkół o rok wcześniej liczą, że im wcześniej dzieciak znajdzie się w szkole, tym skuteczniej tę przepaść uda się zasypać. Amerykańskie badania pokazują coś wręcz przeciwnego. Im wcześniej dziecko będzie w szkole, tym wcześniej z tym problemem się zderzy i szkoła nie tylko tej przepaści nie zasypie, ale ją jeszcze pogłębi.



Dyrektor amerykańskiego Educational Testing Service mówi:

dzieci trafiają do szkoły z platform o różnych wysokościach i nauczyciel nie ma magicznej różdżki, z pomocą której mógłby je umieścić na jednej platformie.

I ma rację. Najważniejsza z tajemnic skuteczności prywatnego szkolnictwa, to przewaga kapitału kulturowego uczniów którzy do tego szkolnictwa trafiają.

Im większy w szkolnej pracy udział zadań domowych, tym bardziej jest pewne, że szkoła pogłębi różnice między dziećmi z domów o różnych możliwościach. W Polsce od lat na rynku pracy mamy (o ile dobrze pamiętam to określenie) „pozytywnego świra deregulacji”. Rodzic na zderegulowanym rynku pracy pracuje w sposób także zderegulowany. Każdego dnia zaczyna od zera i nie wie co będzie w przyszłym tygodniu. Pracuje w różnych godzinach, łapie co się da i nie ma mowy o dopilnowaniu prac domowych dzieci, bo skutki braku regularności życia są nieubłagane. A dziecko, którego prace domowe nie są dopilnowane i któremu nie ma kto pomóc, z którym nie ma kto posiedzieć i którego nikt nie sprawdza w polskiej szkole zginie marnie. Przepadnie z kretesem.

Polska szkoła opiera się na domu, jak chyba żadna inna. Nie da się z jednej strony promować „pozytywnego świra deregulacji” a z drugiej liczyć na to, że sześciolatek postawiony sam naprzeciw szkolnych wymagań stanie się tygrysem. Dzieci nie lubią deregulacji. Lubią regularność. Kiedy jej nie ma, to nie ma struktury. Im dziecko młodsze, tym na to wrażliwsze.

Jak nie ma struktury, to nie ma zasad, a jak nie ma zasad, to nie ma ani zdolności koncentracji, ani doceniania ciężkiej pracy. Jest w najlepszym razie ściąganie streszczeń z internetu, a w najgorszym odmowa nawet tego.

Współczesna szkoła jest nieskuteczna. Uczy masy wszystkiego, a nie zostaje z tego nic. Czemu nieskuteczna? Z powodu błędnych założeń. Największy błąd (zresztą powszechny) dotyczy słynnego „uczenia samodzielnego myślenia”. Wszyscy powtarzają, że szkoła powinna uczyć myśleć samodzielnie. No i narzekamy, że nie uczy, tylko zamiast tego taka schematyczna. Jest moda na usuwanie z przestrzeni naszych dzieci wszystkiego tego co by z daleka czuć było przymusem. Wierzmy, że dziecko poddane procesowi który nie jest elastyczny samo stanie się nieelastyczne. Wierzmy w to do tego stopnia, że sama próba postawienia tego pod dyskusję bywa odbierana jak zamach na wolność i prawa, ale dowodów na to, że ludzie szkoleni przez sztywnych belfrów są mniej twórczy niż ci uczeni przez hipisów nie mamy żadnych. Pokolenie lat sześćdziesiątych chodziło do drętwych szkół póki się nie zbuntowało, miało rodziców drętwych nie do wytrzymania, a było bardzo twórcze. Kolejne pokolenie, wychowywane przez tych twórczych ludzi ogarniętych obsesją totalnej wolności nie zrobiło żadnej następnej rewolty i zostawiło po sobie masę szmiry i taniej podróby.

Sformułowanie „uczyć myśleć samodzielnie” to jest oksymoron. Nie można uczyć myśleć samodzielnie ponieważ myślenie samodzielne jest zgodnie ze swą szlachetną nazwą samodzielne.

Tego się nikogo nie nauczy, tak jak nie nauczy się nikogo, by miał nieszablonowe poglądy, tak jak nie ma metody stworzenia poety – wieszczą ani malarza który wyznaczy nowy styl i tak jak nie namówi się nikogo do zakochania. Nie wszystko w życiu można sobie obstałować.



Geniuszy w taki sposób zamówić się nie da.

Ludzie, którzy na przestrzeni wieków mieli niezwykle, nieszablonowe i rewolucyjne poglądy, ci którzy myśleli samodzielnie i którzy tworzyli rzeczy niezwykle – takie co do dziś nas zachwycają i które teraz współczesne pokolenie przeżuwa w kolażach i różnym „miksowaniu utworów” - to nie byli ludzie uczeni samodzielnego myślenia. Czy będzie to Darwin, Kopernik, Freud, Hypatia z Aleksandrii czy ktokolwiek kto zapisał się w ludzkiej pamięci tym, że dokonał czegoś niezwykle i twórczego, niemal regułą jest, że odebrał ten ktoś upierdliwą, powtarzalną i solidną edukację opartą na treningu ciągłego powtarzania tego samego aż się utrwali i wyuczy do perfekcji.

Perfekcja – poczucie mocnej kompetencji, poczucie, że się człowiek na czymś zna i porządnie, do głębi coś opanował – to coś absolutnie nieznanego uczniom współczesnej szkoły. Nie ma na to czasu. Jedyne, co tu opanujesz porządnie, to pisanie i czytanie. To jedyna rzecz, którą powtarza się wystarczająco długo. Co tydzień zalicza się kolejną partię materiału i kolejne testy wyboru. Żeby móc na tej kolejnej partii się skupić poprzednią trzeba zapomnieć.

W ten sposób tworzy się wirtualną rzeczywistość, w której uczniowie rzekomo przerobili całą wiedzę jaką ludzkość zdołała zgromadzić i potwierdzili to obiektywnymi testami. I jednocześnie w realnym świecie tworzy się człowieka który zaczepiony na ulicy nie potrafi odpowiedzieć na najprostsze pytanie o historię, matematykę, czy chemię. Nie wie nic, choć wszystko to kiedyś przerabiał. Taki uczeń w głębi duszy czuje się farciarzem lub oszustem. Nie rozumie, że cały system jest wirtualny. Zdaje mu się, że system uczy wiedzy realnej, a tylko on jeden nic nie wie i jakimś cudem się prześlizgnął. No i boi się, że to kiedyś się wyda.

Taka szkoła nie uczy materiału i nie premiuje pracowitości ani wytrwałości. Premiuje co najwyżej posiadanie domu z kimś pilnującym „co masz na kiedy”. Żeby pojawił się trwały wynik uczenia, potrzebna jest regularność pracy nad jednym, a nie zaliczanie bez przerwy czegoś nowego. Nie pomoże też ciągle utwierdzanie dziecka w krytycyzmie wobec wszystkiego, co z daleka czuć autorytetem, ani wmawianie mu, że jest świetnie kiedy jest najwyżej poprawnie.

Żeby móc myśleć samodzielnie, trzeba sobie na to zapracować wytrwale zdobytą wiedzą. Współczesnym uczniom w Europie i USA nikt niczego takiego nie mówi. W Azji jak najbardziej. Wkrótce będziemy mieć spotkanie zadowolonych z siebie luzaków nie umiających niczego porządnie i przekonanych, że mają prawo nie słuchać nikogo i z drugiej strony spiętych do granic możliwości perfekcjonistów umiających wszystko. Wynik tego spotkania może być tylko jeden. To będzie jak wizyta stada roślinożerców w zadbanej, dobrze utrzymanej szklarni.

Na marginesie - kiedy próbujemy uczyć nasze dzieci by myślały samodzielnie, często niechcący odbieramy im tę możliwość. Osoba domagająca się od drugiej kreatywności jest jak mąż żądający od żony by była bardziej sexi. Albo jak żona która żąda od męża by się stał bardziej męski. Z chwilą gdy coś takiego sformułujesz, staje się to niemożliwe bo takie rzeczy mogą pojawić się jedynie jako wynik swobodnej i spontanicznej ekspresji. Nikt nie może tego dostarczyć na żądanie.

Ciekawość także nie jest czymś czego można nauczyć. Ciekawość to jest coś, czego nie można powstrzymać. Jeśli jakieś dziecko dąży raczej do bezpieczeństwa i przynależności niż



do zaspokajania ciekawości świetnie przystosuje się do szkoły „uczącej ciekawości”. Będzie siedziało grzecznie i w wieku ośmiu lat słuchało, jak pani opowiada o fizyce kwantowej. Wymyślili ją Heisenberg i Schrodinger. Obaj chodzili do niemieckiej zwykłej szkoły gdzie ciężko wkuwali, po czym studiowali fizykę na drętym niemieckim uniwersytecie. Lata ciężkiej, morderczej pracy ich to kosztowało.

Jeśli młodzi ludzie na coś cierpią, to z pewnością nie na depresję, tylko na anomię. To pojęcie (z oczywistych względów nie stosowane przez psychiatrów) dużo lepiej opisuje problem. Czym jest anomia? To brak spójnego systemu norm i wartości. W wyniku braku norm nie ma się kierunku działania, a każde wyzwanie wydaje się ponad siły.

Lekarstwem na anomię nie jest „jeszcze więcej kreatywności i wolności”. Nie jest nim także „jeszcze więcej ciepła”. Lekarstwem na anomię jest stałość struktury, konsekwentnie egzekwowane zasad, nauka nastawiona na perfekcję zamiast wirtualnego zaliczania wszystkiego po łebkach, jasne określanie celów i wymagań i jasne określanie, co jest sukcesem, a co porażką. I nazywanie tego po imieniu uczciwie i szczerze. Jeśli tylko „doceniasz pozytyw” to nic nie jest porażką. Kiedy nic nie jest porażką, to i nic nie może być sukcesem i tak naprawdę nie ma żadnego powodu do dumy, ani powodu by się starać o cokolwiek. Jeśli nikt nie jest autorytetem nie do podważenia, to kto mógłby rościć sobie prawo, by oceniać, czy zrobiliśmy coś porządnie? Słowo „porządnie” przestaje wówczas oznaczać cokolwiek. Tym jest właśnie anomia. Brakiem powodu, kryteriów i punktu zaczepienia. Łatwo anomię pomylić z depresją, ale to całkiem nie to.

Ten i inne materiały kongresowe można znaleźć na stronie:
<http://www.oskko.edu.pl/kongres/materialy.html>